TYGODNIK Adres dla zwrotów: Warszawa 1, skrzynka pocztowa Nr 370 CENA 30 GR.
OPŁATA UISZCZONA RYCZAŁTEM

KURIER DEMOKRATYCZNY

Rok I. Warszawa, 19 grudnia 1938 r. Nr. 47

MINĄŁ TYDZIEŃ

NA ZACHODZIE EUROPY.

Był czas, że stosunki polityczne na wschodzie Europy uważano za nietrwałe, tak dalece, że stale liczono się z konfliktem zbrojnym. Ta niechęć do wschodniej Europy niejednokrotnie zdecydowanie szkodziła i polityce polskiej, utożsamiając ją z niestałością bądź z chęcią wywołania w sposób niemal nieunikniony. zadrażnień międzynarodowych.

Świadomość ta pokutowała zbyt długo w umysłach polityków zachodnich.

Dziś jednak, politycy ci, uważający swoje kraje dotychczas za szczyt ustabilizowanych w nich stosunków, muszą zmienić swe zdanie. Muszą się troskać o los swych krajów i o ich spokój.

Oto zarówno wed Francji, jak i w Anglii niepokój w ostatnich latach wzrósł tak dalece, że nawet deklaracje uroczyście podpisywane, czy to niemiecko - angielskie w Monachium, czy francusko - niemieckie w Paryżu — nie są w stanie już uspokoić opinii publicznej tych krajów.

Tak mało już dziś przywiązuje się wagi do słowa składanego w imieniu państwa.

Miał rację Chamberlain, gdy nazwał czasy dzisiejsze najtrudniejszymi, w jakich przypadło borykać się premierowi Anglii.

Jest w tym szczypta prawdy. Jeszcze parę lat temu, np. podpisanie takiej deklaracji jak w Monachium, uspokoiłoby choćby na parę lat opinie i pozwoliło ułożyć wzajemne stosunki angielsko - niemieckie. Dziś daje to zaledwie parę tygodni spokojnego zebrania kilku hołdów krótkotrwałych.

W tym samym czasie Europa Wschodnia ten pogardzany przez Zachód zakątek kraju, żyje sobie we względnym spokoju. Ale czy tak będzie zawsze — oto podstawowe pytanie?

JESZCZE RUŚ ZAKARPACKA.

Sprawa granicy polsko - węgierskiej nie przestaje nadal interesować opinii międzynarodowej. Żywo tym problemem interesuje się Francja i Anglia. Niemcy zaś zachowują dyskretne milczenie, ale za kulisami działają bardzo zdecydowanie.

Obecnie z racji wizyty ministra Ciano na Węgrzech dyskusja na temat Rusi ożywiła się znacznie. Jednakże trzeba stwierdzić, że Węgrzy w rozgrywce o Ruś wyraźnie niedopisali. Gdyby ich działanie było energiczniejsze i bardziej sprecyzowane, niewątpliwie sprawa wzięłaby inny obrót. Niestety Węgrzy zawierzyli mediacjom dyplomatycznym, które zazwyczaj przychodzą już po pewnych faktach przesądzających choćby tylko w ogólnych liniach sprawę. Dyplomacja wygładza tylko to, co inne siły wytworzyły. O tym drobiazgu właśnie Węgrzy zapomnieli w czasie gorących dni październikowych.

CZECHOSŁOWACJA WASALEM NIEMIEC.

Cała polityka Czechosłowacji uzależniona jest od Niemiec. Po prostu kraj ten staje się prowincją Niemiec. Czesi odwrócili się od nas i opierają całe nadzieje i aspiracje na Trzeciej Rzeszy. Liczą nie tylko na jej pomoc, ale również nie pragną ułatwiać roli Polski.

Jak dotychczas, tak i nadal, stale usiłują szkodzić jej polityce. Niewątpliwie w tym podporządkowaniu wszystkiego Niemcom jest wiele niechęci i do nas jako państwa dużego. Ale nie jest to nowością w międzynarodowych stosunkach z Czechami.

PAKT CZTERECH NA WIDOWNI.

Wizyta angielskiego premiera w Rzymie wraz z lordem Halifaksem nie przestaje budzić powszechnego zainteresowania. Jak zachowa się premier Anglii? Czy znowu nie poweźmie jakichś zobowiązań, które zaszachują Francję? Oto pytanie, które wszystkich intryguje. Pragnęli to wyjaśnić posłowie opozycyjni w angielskiej Izbie Gmin. Niestety napróżno. Poza ogólnikami nic konkretnego nie otrzymali w wyjaśnieniu Chamberlain'a.

A interesuję się rolą premiera brytyjskiego nie tylko opinia własnego kraju, lecz i opinia międzynarodowa.

Mussolini, który ma godnie witać wysłanników angielskich, marzy ponoć o wznowieniu paktu czterech. Uważa on, wraz z Hitlerem, że ustalenie dyrektoriatu 4 mocarstw pozwoliłoby na odprężenie w polityce międzynarodowej.

Byłoby to jednak tak długo, dopokąd dyktatury nie zapragnęliby nowych sukcesów.

Oczywiście pakt 4-ch, jak to już raz miało miejsce parę lat temu, zostanie storpedowany przez Polskę.

Dziś narzucić nam dyktanda nikt nie jest w stanie.

Niedzielna decyzja wyborcy

Wybory samorządowe najważniejszych miast Polski są już poza nami. Rezultat ich aczkolwiek niezamierzony, będzie miał duże znaczenie dla oceny i dla rozwoju sytuacji politycznej w kraju.

Dla grup pracowniczych zaś przegrana w wyborach musi się stać podstawą dla dokonania gruntownego rachunku sumienia po koniecznej niewątpliwie pokucie i żalu za grzechy.

KLĘSKA MORALNA TOTALIZMU.

Jeżeli chodzi o sytuację ogólną w kraju, to wybory stwierdzają w sposób niewątpliwie nie pozostawiający żadnej iluzji, że prądy totalistyczne nie mają w Polsce głębszego oparcia, wprost przeciwnie, nasuwa się wniosek, że układ stosunków jest tego rodzaju, że konieczna będzie współpraca samodzielnych grup politycznych.

Niezależnie od tego, samorządowe wybory potwierdzają to przekonanie, że społeczeństwo polskie nie potępia życia politycznego w kraju, że wierzy, iż właśnie polityki z rozstrzygania podstawowych problemów życia naszego nie sposób usunąć. Polityki nie boi się; pragnie politycznie myśleć i działać. Wreszcie ubiegła niedziela stwierdza ponad wszelką wątpliwość, że tylko połowa obywateli stolicy dała dowód świadomości praw i obowiązków obywatelskich, zaś druga połowa ludności zachowała się w sposób bierny.

Pewne pisma małą frekwencję upatrują w mrozie. Mróz w tak wysokim procencie jednak nie może być żadnym argumentem tłumaczącym i może być on miarodajny najwyżej dla 10% wyborców.

REZERWUAR SIŁ POLITYCZNYCH.

Wynik wyborów obala również legendę o zmianie nastawienia społeczeństwa polskiego do ugrupowań politycznych w kraju.

Staje się dziś widoczne dla ka[illegible]go, że rzeczywiste siły polityczne w kraju skupione są w stronnictwach politycznych. Konsolidacja zatym, która zapewne nie osłabnie, liczyć się musi z tym rezultatem, jakie unaoczniły nam wybory samorządowe.

Ci więc, którzy hasło konsolidacji podjęli z drogi tej zapewne nie zejdą, zapewne nie pójdą śladami Alfonsa XIII-go, sprzed paru lat. Niewątpliwie jednak dostosują swoje poczynania i program do tego co ujawnił kraj ubiegłej niedzieli. Dlatego słusznym wydaje się przekonanie, że od wyborów samorządowych ostrze totalizmu zostało gruntownie stępione.

Nie dawno jeden z przywódców O. Z. N. poseł Browiński upatrywał zależność pomiędzy aktem z dnia 6 listopada z wyborami 18 grudnia, stwierdzając, że O. Z. N. bedzie miał „większość znakomitą w samorządzie".

Otóż rzeczywistość okazała się więcej niż smutną.—

To samo dotyczy upatrywania publicystyki ozonowej zaraz po wyborach do sejmu, że właściwie społeczeństwa gniewającego się na zjednoczenie w ramach O. Z. N. jest około 6 procent.

Wybory samorządowe nie potwierdzają tych przepowiedni i nie usprawiedliwiają tej wiary w powszechną niemal zgodę na politykę O. Z. Nu. Na placu boju więc pozostały, jak w Poznańskim i na Pomorzu, Sstronictwo Narodowe, w Łodzi P. P. S., w Warszawie żadne z ugrupowań nie zdobyło przewagi.

W Warszawie na 100 radnych O. Z. N. uzyskał 40 mandatów, P. P. S. 27, Str. Nar. 8. Resztę inne grupy. Natomiast w Poznaniu na 72 radnych Stronictwo Narodowe otrzymuje 52 mandaty, O. Z. N. 19 i P. P. S. 1.

Jeżeli się zważy warunki, w których odbywała się agitacja przedwyborcza, oraz ułatwienia w tej pracy to wynik cyfrowy podany wyżej, należy uznać za nader wymowny i znamienny.

Jednocześnie ujawniła się nicość wpływów w społeczeństwie grup oenerowych różnej maści. To, co zdawało się rok temu nadawać hałaśliwy ton życiu publicznemu w kraju jest znikome i bezsilne, robi tylko wiele hałasu, ale mas za sobą nie prowadzi.—

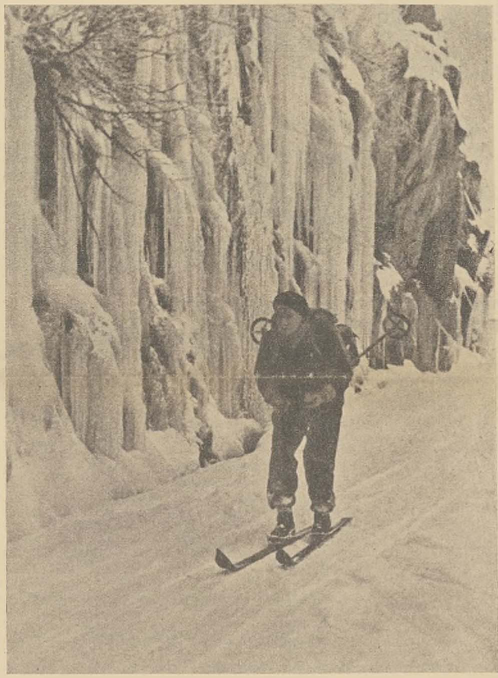
ZERWANA LEGENDA.

Ale na tym nie wyczerpuje się sens odbytych wyborów.

Oto jako równorzędny partner w akcie wyborczym wystąpiły związki pracownicze. Wystąpiły one pod hasłami gospodarczymi.

Trzeba tu nadmienić, że faktyczna siła tych związków była nieco przeceniana i urastała do pewnej legendy. Okazało się w sposób oczywisty, świadczą o tym liczby oddanych głosów na listy pracownicze, że sami członkowie nawet tych organizacji podzielili się i oddali swe głosy zapewne częściowo na O. Z. N., częściowo na P. P. S. i na endeków, zależnie od swych osobistych zabar-

(Dokończenie na str. 3)



POTRZEBA OFIARY I SŁUŻBY

„...MIMO TO NA DNIE DUSZY POZOSTALIŚMY „TAKIMI SAMYMI ROMANTYKAMI, JAK CI, KTÓRZY WIERZYLI WRAZ ZE ZBOROWSKIM SŁOWACKIEGO, ŻE COŚ WIĘKSZEGO BYĆ MOŻE, NIŻ GNIAZDO MAŁYCH I ZGŁODNIAŁYCH LUDÓW". COŚ WIĘKSZEGO, NIŻ NIEPODLEGŁOŚĆ? TAK, ALE NIKT NIE POTRAFIŁ DAĆ ODPOWIEDZI Z WYRAŹNĄ TREŚCIĄ, ABY I PO ODZYSKANIU NIEPODLEGŁOŚCI MIEĆ ŚWIATŁO PRZEWODNIE. PRZYZNAŁ W POCZUCIU PRAWDY WIERNY GIERMEK HETMAŃSKI, ŻE „KTO OD PIŁSUDSKIEGO, CZY KOGOKOLWIEK INNEGO USŁYSZEĆ CHCE ALFĘ I OMEGĘ WIELKOŚCI NARODU, FORMUŁĘ SAMWIEDZY JEGO MISJI, — I KTO UCZUCIE PORYWAŁ KU SŁOŃCU NARODOWEJ PRZYSZŁOŚCI JAKĄŚ GOTOWĄ ALFĄ I OMEGĄ ZASPOKOIĆ CHCE, — ZAWIEDZIE SIĘ". SPEŁNIŁA SIĘ PRZEPOWIEDNIA. BEZPOTOMNIE BOWIEM CZY PRZEDWCZEŚNIE ODSZEDŁ W ZAŚWIATY CZŁOWIEK, KTÓREGO WODZEM UZNAŁO TAK WIELU.

RZECZĄ TYCH, KTÓRZY POZOSTALI, JEST SZUKAĆ DALEJ. NARÓD MUSI MIEĆ ŚWIADOMOŚĆ SWOICH PRZEZNACZEŃ, ABY MÓGŁ ŻYĆ PEŁNIĄ SIŁ. GDZIE BOWIEM NIE MA WIELKIEGO IDEAŁU, TAM NIE MA RÓWNIEŻ SILNEJ WIARY. GDZIE NIE MA SILNEJ WIARY, NIE MA RÓWNIEŻ DUCHA OFIARY I SŁUŻBY ZE WSZYSTKICH SIŁ. POLSKA ZAŚ TAKIEJ SŁUŻBY I TAKIEGO DUCHA OFIARY BARDZIEJ OD INNYCH POTRZEBUJE, BO GORSZE OD NICH MA POŁOŻENIE I WIĘKSZE OD INNYCH TRUDNOŚCI DO POKONANIA.

F. Młynarski „Człowiek w dziejach".

TEODOR GOŹDZIKIEWICZ

POLOWANIE

Strzały stawały się coraz rzadsze.

Rozgrzmiały przedtem bór cichł powoli, ostygał z huku, echa strzałów ginęły w lesie, gubiły się po zakamarkach i głębokich zapadlinach boru. Cisza właściwa lasom popołudniu zimowego dnia zaczęła brać znów w swoje ramiona szarpany hukami bór. Daleki zmierzch wisiał nad ziemią rozpostarty na mokrych kłębiskach chmur, to na tych rozchwiałych gałęziach drzew. Śnieg przestał padać, wiatr uciszał się, donośniej zato było stychać pojedyncze zapóźnione strzały. Na zachodnim skrawku widnokręgu poczęło się wyjaśniać i to robiło wrażenie, że dzień się przedłuży. Po ziemi rozciągał się lekki szczypiący uszy przymrozek.

Strzelcy zmieniali ostatni raz miejsca [illegible]

Kiedy myśliwi stanęli na swoich stanowiskach w linii, kiedy nagonka ukryła się w lesie, pan Leśniewski rozporządł segregować wrażenia. Nie był zadowolony ze swego miejsca. Nie był znów na tyle patałachem, żeby nie zdawać sobie sprawy z tak elementarnego zjawiska jak charakter drogi ciągu zwierzyny. Wiedział, że jest na samym skrzydle i w dodatku na wzgórku, a to było aż za wymowne: zwierzyna tędy nie pójdzie. Ogarnęła go przykrość. Fuzję oparł o drzewo, ręce zatarł, schował je do kieszeni krótkiej myśliwskiej bekieszy i bezgłośnie świstał przez zęby dla zatarcia przed samym sobą nierozumnej goryczy. Myślał z żalem w duszy:

— Najwidoczniej mają mnie za tak marnego strzelca, że aż mnie tu niby niechcący dali. Ma być dzik i boją się, żebym nie przepuścił. Tutaj — mogą spać spokojnie — nie pójdzie, więc go i nie puszczą.

Mimo togo z przyzwyczajenia i dla myśliwskiej zasady nabił fuzję loftkami i znów ją oparł o drzewo. Miało to oznaczać wybitnie myśliwską gotowość połączoną z filozoficznym dowodem lekceważenia ludzkiej złośliwości. Zasłuchał się. Bór mruczał niezrozumiałe godzinki przedwieczorne. Strzałów słychać nie było. Daleko gdzieć potwornie darła się nagonka. Pan Leśniewski zaczął wolno chodzić na niewielkim odcinku tam i z powrotem.

— Ciekaw jestem — mówił do siebie — czy też dzik będzie czy nie. Nic bym się nie śmiał, gdyby na mnie wyszedł!

To mówiąc podniósł fuzję, oparł o rękę, frontem zwrócił się do lasu. Oczy wparł w głębię. Daleko na prawo poza odległością strzału szurnął królik w śmiertelnym przerażeniu łyskając białym podogoniem. Gdzieś za nim darła się nieprzyjemnie sójka Ruda wiewiórka skoczyła miękko z drzewa na drzewo, aż gałęzie rozhuśtały się pionowym ruchem. Przepadła gdzieś wśród podobnych jej barwą konarów. Koło chropawego dębu wyrosła smuklizna sosny płacząc z jego gałęziami swe koślawe rosochy półwiecznej matki. Tu i owdzie siedział wśród igliwa przysadzisty jałowiec. Leszczyna obnażonymi członkami swych rozgałęzień oplatała krzak ciernistej dzikiej róży. Pod rachitycznym świerkiem widać było wielkie nadwyrężone mrowisko. Martwe, puste i obumarłe. Na polanach leżały splachcie scukrowanego śniegu, który nie zdążył stopnieć. Zdawało się jakby były oknami, gdzie można spojrzeć w głąb tajemniczej ziemi, która dopuszcza oko słabych i upośledzonych.

Pan Leśniewski bez powodu wpatrzył się w mrowisko. Zdawało mu się, że omokła, ściółka, z której zbudowane było, ruszyła się. Utkwił w nim oczy pilniej — było spokojne. Wtem kilka kroków od niego szusnął zając. Zresztą nabój był tak gruby, że nie wiadomo, czyby z szaraka pozostały choć skoki. To odciągnęło jego uwagę od mrowiska.

Ale kiedy wzrok skierował na nie znowu, powierzchnia mrowiska drgnęła. Ogarnęło go zdumienie. Teraz oczy przykuł do niego i nie wierzył sam sobie. Było porozkopywane, nierówne. Tylko deszcz dzisiejszy omoczył suchą ściółkę wyrzucona na wierzch ze spodu. Mrowis ko co parę sekund ruszało się. Robiło wrażenie, że faluje: podnosi się i opada. Pan Leśniewski nie wierzył jeszcze sobie. Przetarł oczy — rusza się. Myślał, że halucynacja, przybliżył się bez szmeru — mrowisko było duże, rozwalone, straciło kształt kopulasty. ale w tej chwili ruszało się wyraźnie. Kiedy ochłonął cokolwiek ze zdziwienia, postanowił zbadać Podszedł kilka kroków jeszcze i końcem buta odgarnął cienką warstwę ściółki. Przeraził się... Wśród igieł sosnowych poznał szczecinę dzika, który zagrzebany głęboko w mrowisku spał i najspokojniej oddychał, jakby go cały świat absolutnie nic nie obchodził.

Panu Leśniewskiemu nagle wzruszenie zdusiło gardło. Był radośnie przerażony. W jednej chwili cofnął się za najbliższe drzewo, wycelował w mrowisko i wypalił. Rozpierzchła się na wszystkie strony ruda ściółka jak wyrzucona miną, a z głębi wyskoczył z charkotem czteroletni odyniec. Pan Leśniewski wycelował i strzelił w prawy bok dzika z drugiej lufy, następnie w mgnieniu oka złamał fuzję, nabił i posłał trzeci strzał z przykładu za uciekającym odyńcem. W skuteczność tego ostatniego pan Leśniewski poważnie wątpił, ale miał przynajmniej swoje sumienie względnie spokojne, że zrobił, co było trzeba.

Pan Leśniewski przypadł do pierwszej płaszczyzny śnieżnej, którą dzik przeciął ostrym ukośnym susem, i miał dowód czerwony na białym, że jednak nie wszystkie strzały jego były zmarnowane. Dzik silnie farbował, a będąc oszołomionym na pewno pójdzie prosto i ślad za sobą zostawi. Zaświstał i po pewnym czasie przygalopował specjalny dojeżdżacz. Pan Leśniewski wskazał mu kierunek ze słowami:

— Tędy i w tę stronę poszedł dzik... prędko! Faruje dobrze!

Dojeżdżacz podciął maleńkiego konia i zaczął sprawnie pomykać między pniami drzew. Po chwili znikł — zasłoniły go obwisłe festony świerkowych gałęzi. Pan Leśniewski już nie strzelał nie mogąc wyjść z podziwu i radości. To los spłatał figla! To prawdziwie!... Oglądał ogromne, rozrzucone zupełnie mrowisko, dotykał ręką ciepłej ściółki jakby własną skórą chciał się upewnić, że to, co zaszło, było nie snem a rzeczywistością.

Po zwinięciu kotła opowiadał z fałszywą skromnością delektując się konsternacją kolegów:

— Panowie, miałem dzika... Ogromny, śliczna sztuka, ale w jak niezwykłych warunkach! Trudne do wiary!

U Błaszczyka za borem wożono dzisia gnój. Od samego rana stary zaprzągł do obłoconego wozu dwie chabety i włóczył [illegible] rozpaćkanej drodze pod las z tym ładunkiem raz po raz a nie często, bo to i droga była nietęga i konie ledwo że machały tymi ogoniskami i nakładać nie było komu, bo chłopak, ledwo w łapach te widły udźwignął, do roboty nie bardzo się kwapił i gdzieś tam po chęchach kąty tylko wycierał reszta zaś dzieciisków w trepach po tym błocie się ślechtała, do roboty niezdatna tylko słuchała jak panowie po lesie kołacą. Stara zaś Błaszczykowa, że to jej od kądzieli niesporo było odejść, nie mu pomagała. Miał więc z nich Błaszczyk niewiele pożytku i sam musiał się do nakładania gnoju dobrze porzuwać.

— Franek, ty byclu, a idziesz do gnoju! matki zawołaj!

Franek poczłapał do domu, chwiernął drzwiami .Aż tu na środek dolatywało jazgotanie starej, tak na ojca zaczęła wymyślać, bo i niezada była dzisiejszej wywózce gnoju, jako że nie po jej myśli poszło. Miała bowiem chęć jechać do miasta, żeby to na wilię co nie co fruchtów kupić, a stary się uparł i zaczął wozić gnój, bo to w polowanie czasem jaki taki kociak wpadnie [illegible]

Właśnie wrócił znów z pola na podwórko i dał koniom po tęgim bacie, jako że aby się wlokły łbami sięgając błotnistej drogi. Skoczyły szkapska z miejsca, aże pod kołami błoto się otworzyło i zajechał przed kupę nawozu. Dzieciska w tych utytłanych gałganach stały pod ścianą w końcu domu i przysłuchiwały się strzałom, co raz po razu gdzieś tam pukały po borach. Szturchały się łokciami wrzeszcząc na przemiany, ilekroć razy wybuchnął daleki okrągły tom. Ze zsiniałymi od zimna, umorusanymi twarzami kuliły się w sobie, kurczyły chroniąc się od chłodu. A że to było zakatarzone i usmarkane prawie do pasa, to często któreś chlipało głośno i rękawem ucierało nieposłuszny nos.

I wszystkie wyszły. Zośka, co w tym roku pasła bydło, Józek, który żyta na jesieni pilnował od kur, a pomagała mu Włodka i nawet ten berbeć, mały Stasiek, co i biegać jeszcze nie potrafi dobrze, perdu się tylko za starszymi płacząc przy większej kałuży. Stało to skurczone zziębnięte od przesiąkniętego wilgocią powietrza i słuchało tych kołatań, co się rozlegały bliżej i donośniej, coraz huczniej. Nosy im zsiniały z zimna, oczy zachodziły łzami, a one stały rozweselone, rozchichotane z ciekawością chłonąc głosy boru.



Błaszczyk wjeżdżając w podwórko na swym zabłoconym gnojaku wrzasnął widząc zziębnięte bąki:

— A idzieta wy do chałupy! Franek!

Skoczyły pędem ku chacie trzaskając po błocie trepami, aż siwa woda pryskała na boki, śpiesząc się jedno przez drugie, Tylko ten mały Stasiek, co zawsze na ostatku chodził, został za nimi merdając nóżętami obutymi w ciężkie trepki, tylko mu ta klapa od porciąt niezapięta fajtała się po łydkach.

A i Franka nie było. Utknął gdzieś i nie było go widać. Zlazł przed chwilą z wozu i przepadł. A Franek ściągnął ojcu grochu, schował po kieszeniach i nabierając pełną garścią rzucał na ziemię. Przed nim o krok uwijało się pstre stado jego ulubieńców. Wpadały na pokarm na oślep hurmem, dziobiąc zawzięcie ziarnko po ziarnku, rozpychając się muskularnymi skrzydłami, zwijając się co sił, żeby jak najwięcej połknąć. Właśnie podjadły były nieco i co czupurniejsze samce gruchać zaczęły z gracją szukając w tłoku swych towarzyszek, gdy jeden czerwonogłowy kot z butą i zaciekłością ją kuć czarnego lśniącego dublera, aż to Franka do pasji doprowadziło.

— A sio! — krzyknął rozsierdzony, a widząc, że jego interwencja słowna wywarła na napastniku mały skutek, skoczył w całe stado chcąc ukarać złoczyńcę. Ale stado z trzaskiem skrzydeł wionęło w górę, aż pęd powietrza potrącanego skrzydłami uderzył go w twarz. Stado zawirowało bokiem i siadło na dachu i przekrzywiając szyjki ze zdziwieniem patrzyło na swego chlebodawcę.

— Fiuuu!... fiu-fiu-fiu!... fiu! dyziuchny, dyź, dyź dyź!

Mało im było przeprosin Franka. Siedziały nadal nieruchome jako te panny zagniewane. Ten i ów zniżył się tylko, ten i ów sięgnął dziobem między pióra, musnął je, pogłaskał, skurczył szyjkę i siedział. Inny zagruchał niezdecydowanie.

Franek sięgną znów ręką, zaczerpnął hojnie cielistych kulek i sypnął prosząc:

— Dyziuchny!.. fiuuu, fiuuu, fiu! dyziuchny!

Patrzyły bokiem ładnych łebków niby nieufnie na pryskające ziarnka, kiwały główkami, poglądały na właściciela i decydowały się. Wreszcie jakiś pstry winer z dziobkiem jak ziarnko pszenicy maleńkim rozszerzył skrzydła, zawachlował nimi kilka razy i usiadł pomiędzy ziarnem.

Franek jeszcze zachęcał:

— Fiu fiu fiu... dyziuchny!

Przykład zrobił swoje. Sypnęły się za poprzednikiem gęsto białoogonki z żółtymi dziobami jak wosk a czarne jak kruki, siwki z wyszukanymi ruchami, bacznie patrząc koralikami inteligentnych oczu, powiewne kasztany i spancery w żółtych i czerwonych lśniąco kamizelkach, lekkie srebrniaki i śnieżnobiałe perłowe, a za nimi murzyny, krymki i cała ta brać patrokata, w której Franek utopił duszę.

Podrzucił im Franek raz i drugi, sypnął hojnie i pogwizdywał zachęcająco. Przenosił oczy z jednego na drugiego, obejmował okiem pełnym pieszczoty, głaskał spojrzeniem po lśniących piórach, po dziobkach żółtych i czarnych, po perłowych, karalikowych i bursztynowych oczach, po koronkach puszystych, które stroiły małe łebki, okalały je aksamitną girlandą od ślepka do [illegible]

Ale jego dyskretne pogwizdywania były znakiem orientacyjnym dla ojca. Stary Błaszczyk wyskoczył z za węgła z batem:

— Idziesz do gnoju ty byclu! ja ci dam gołębie! — i przejechał Franka przez ramię do żywego, który z bekiem skoczył do fury gubiąc po drodze ziarno z kieszeni.

Tu mu jeszcze dołożył i chłopak podzierał się niezgorzej szturchając widłami stos nawozu. Wieczór zapowiadał się prędki — kury już poglądały ku grzędzie. Nakładali tedy szybko przykładając się do wideł gorąco i tylko Franek pochlipywał czewnie, jako że jeszcze markotność go nie odeszła. Błaszczyk milczkiem narzucał gnój, na nic nie zważając. Chciał być jak najprędzej pod lasem, bo strzały były tuż, prawie jakby za sadem na polu, które końcem tamtym sięgało boru. Teraz najprędzej można spotkać jakiego postrzelońca, co to polem idzie ledwo i zdycha. Paliło mu się też widlisko w ręku i zajadle narzucał na wzrastającą furę. Och, gdyby on tak miał dubeltówkę, gdyby on tak mógł zapolować! Błaszczyk miał w oczach obraz fikających białymi podbrzuszami zajęcy od jego ręki.

Naładowali wreszcie kopiasty wóz, oklepali, podepchli za kłonice, żeby tym chebetom było lżej odrobinę, stary zgarnął lejce i ruszył narzuciwszy na cielsko kożuch.

—Franek. weź kopacz i chodź ze mną [illegible]!

Rad nierad Franek musiał iść. Wlekli się wolno polną wyboistą dróżką pełną kamieni i dziur — wóz rzęgotał i skrzypiał postukując buksami o osie. Trzymali się ze zwyczaju za kłonice raz w raz popychając krzynę, gdy wóz wpadł w jakąś dziurę. To Przystawali czasem na chwilę, żeby oto szkapska trochę złapały oddechu i zluźniły wrżnięte chomąta. Śmignął je czasem Błaszczyk batem po krzyżu, gdy się ociągały jak te leniuchy i jechał oznaczoną przez koła ścieżkę głęboko werżniętą w ziemię. Skręcił potem na lewo na skład podorywki, bo oto i jego pole popstrzone kupkami nawozu ułożonymi w pstre rzędy. Koniska mocno się zapierały wyginając grzbiety, bo w przesyconej wodą ziemi koła zarzynały się po sękle. Błaszczyk poszturchiwał je tam batem po łydkach, z Frankiem pomagając za kłonice rzetelnie, ale wóz się potężnie opierał i wiązł.

Błaszczyk oglądał się raz po raz łakomie na wszystkie strony, czy ta jaki postrzelony kot nie kusztyka gdzie bruzdą, bo strzały las oddawał wyraziście, dobitnie, aż Błaszczyk mruczał z podziwem:

— Widzisz ty, jak to walą, ho ho!...

Kręcił głową i cmokał z przejęciem, a do Franka raz wraz pogadywał:

— Patrz, jak to zmyka, a zrobisz mu ta co? — zagadywał pokazując szorującego szaraka po oziminach.

Dowlekli się wreszcie i zrzucili gnój na równe kupki po całym zagonie, a prosto, żeby to robota wyglądała po gospodarsku i ziemia była jednakowo nawieziona. Potem poprawili deski, zawrócili ku domowi, stary spojrzał okiem gospodarza po polu jak też nawóz wygląda i nad miedzą sąsiada coś spostrzegł. Strzymał w jednej chwili konie, krzyknął na Franka krótko, ostro przyciszonym głosem:

— Łap widły! —i zsunął się z pomiędzy desek.

Sam z kopaczem w obu rękach szedł szerokimi krokami ku miedzy, za nim śpieszył Franek wytrzeszczając oczy. Pod kupką nawozu siedział na pośladku oparty przednimi nogami ogromny, uśliniony odyniec — zziajany, zmęczony. Z poza warg po obu stronach ryja sterczały mu białe, długie, ku tyłowi zakrzywione kły. Franek stanął jak wryty — jeszcze nigdy takiego potwora nie widział. Błaszczyk podszedł wolniej trochę i ręką go postraszył. Dzik ani drgnął, ani się poruszył. Patrzał na niego małymi przekrwionymi ślepiami jakoś boleśnie czy słabo. Obok stała kałuża krwi — Błaszczyk upewnił się, że dzik ranny. Przybliżył się na odległość widliska, rozstawił szeroko nogi, zaparł się nimi o ziemię i zamachnął strasznie, kopaczem mierząc między uszy w sam kosmaty łeb. Nim jednak opuścił kopacz w dół dzik warknął szatańsko gardłem, skoczył jednym odbiciem nóg z miejsca jak pocisk i runął całym ciężarem ogromnego cielska na Błaszczyka, który chlasnął jak ścięty w mokrą ziemię na wznak wrzasnąwwszy jakoś niezrozumiale. Franek rżnął widły pod siebie i z bekiem pędem pobiegł do domu zostawiwszy konie i ojca.

Dzik przytłoczył Błaszczyka racicami, deptał, charczał i trącał ryjem, aż [illegible] wrócił twarzą do ziemi. Przednimi nogami wparł się w niego ,przycisnął, zadem założył o ziemię mocno i pochyliwszy uzbrojony ryj zaczął go szarpać ostrymi nożami kłów. Czepiał się trochę Błaszczyk, omdlałymi rękami chwytał odyńca tu, owdzie, podrywał się jeszcze krzepko, ale za chwilę ustał przywalony ogromem ciała dzika po plecach — omdlał.

Zwierzę w jakiejś nieposkromionej furii zerwało mu w drobne rząski kożuch i całe ubranie, zdarło z nóg mięśnie aż do kości, wszystko ciało z krzyża i pleców, poryło głowę. Rzężało wściekłym charkotem całe ubrudzone w swojej posoce i krwi Błaszczyka, oszalałe z bólu i wściekłości darło na nim skórę i ciało w drobiazgi, łamało kości, przewracało na boki i miażdżyło z bestialskim zawięciem, z wściekłą zajadłością, podrzucało na ryju bezkształt ludzkiego ciała z nieokiełznanym rozpętaniem szału.

Krew ludzka ubroczyła glebę Błaszczykowego pola.

Od wsi waliła gromada chłopów z siekierami i widłami. Psów bano się brać w obawie, że je dzik nieopatrzne rozszarpie na kawały. Sami szli szybko ale ostrożnie wzajemnie się ucząc, jak podejść rozwścieczonego wilka. Zastali krwawą bezkształtną masę ciała ludzkiego, ubroczone strzępy z ubrania i dzika czerwonego od krwi. Leżał obok i dogorywał. Dobili go siekierami.

Każdy człowiek wobec pewnych faktów jakie go się bezpośrednio tyczą chce ułożyć swój stosunek do nich według tej zasady, która u dzieci objawia się w powiedzeniu: — moje na wierzchu. Nie był wyjątkiem w tym wypadku i pan Leśniewski. Kiedy po jakimś czasie powrócił dojeżdżacz i wśród ogólnej wrzawy służbiście zameldował, że owszem dzik jest, ale leży na chłopskich polach i ci go nie chcą oddać — mówią coś o jakimś zabitym czy rannym, pan Leśniewski zwrócił się do właściciela.

— Panie hrabio, proszę mnie wziąć w obronę! Krzywda mi się dzieje!

— Co takiego? — padł spokojny głos właściciela spod uszatej kapuzy.

— Dzika ,jak pan hrabia wie, strzelałem i legł na sąsiednich polach. Tam go chłopi znaleźli, ale nie chcą wydać. Meldował dojeżdżacz.

Przywołano dojeżdżacza i zdawał powtórnie relację właścicielowi. Poczem padła decyzja.

— Dobrze. To pan Strzemski załatwi. Pana Strzemskiego! — ledwo uchwytnie wzmocnił głos.

Wśród rozmów, gwaru, nawoływań i okrzyków zdziwienia nad rozłożonymi trofeami ostatniego zaciągu niósł się w tłumie głos powszechny od człowieka jak echo w lesie od drzewa do drzewa:

— Panie Strzemski! Paniee Strzeemski!

Nareszcie pan Strzemski się znalazł. Młody, niepozorny, suchy administrator. Było coś jednak w jego oczach takiego, że go wyróżniało z pośród ludzi, jak wyróżnił go właściciel, który sprawę zamknął krótkim wyraźnym rozkazem:

— Ludzie są do dyspozycji. Dzik ma być dzisiaj w podwórzu!

Nad krwawymi strzępami Błaszczyka i burym ścierwem odyńca otoczonym wiankiem ludzi w pewnej chwili padł niespodziany okrzyk:

— Pańskie idą!

Gromada chłopów, dzieci i kobiet podniosła oczy z nad ziemi i obróciła się ku lasowi, skąd z granatowej mgły od granic oderwała się szara kępa ludzi z małym, drobnym człowiekiem w przodzie.

Powietrze szarzało wieczorem i przesycało się coraz gęstszą szreżogą mgły.

Koniec.

Radiofonizacja szkolnictwa

Radioodbiornik w życiu osobistym nauczyciela, zwłaszcza nauczyciela pracującego w najdalszych zakątkach kraju, jest ważnym czynnikiem łączącym go z przejawami życia społecznego, politycznego i kulturalnego. Nauczycielstwo błyskawicznie zrozumiało rolę jaką radio może odegrać we wszystkich dziedzinach życia i dało temu wyraz masowo zapisując się do wielkiej rodziny abonentów Polskiego Radia. Udział nauczyciela w radiofonizacji kraju na tym się jednak nie skończył. Nauczyciel — to nie tylko abonent radia.

On właśnie pierwszy zaznajomił z radiem mieszkańców wsi i miasteczek, przekonał zdumionych widzów i słuchaczy, że radio to nie czary ściągające pioruny i nadmiar opadów atmosferycznych. On to właśnie czynnie propagował dotąd i propaguje obecnie w dalszym ciągu radio wśród dzieci szkolnych i młodzieży pozaszkolnej. On też przygotowuje podrastające pokolenie do umiejętnego korzystania z tego zaiste cudownego wynalazku, on to budzi w dzieciach subiektywną potrzebę utrzymania kontaktu z szerokim światem przez radio, dając umiejętność zaspakajania przy pomocy radia bodaj części tęsknot artystycznych nurtujących w każdym człowieku na każdym szczeblu kultury.

Nauczycielstwo Polskie od lat bierze czynny udział w doniosłej i wielce pożytecznej pracy Dyrekcji Polskiego Radia w organizowaniu codziennych i specjalnych audycji szkolnych uzgodnionych i powiązanych z programem nauczania a mających na celu aktualizowania pracy szkolnej. Czuwa i wspomaga od lat kilku akcję zmierzającą do wprowadzenia aparatów radiowych dla szkół.

Uważamy, że powinien być opracowany i w szybkim tempie realizowany plan radiofonizacji szkolnictwa. Dla pracowników oświaty i kultury, jak najszybsza i istotnie powszechna radiofonizacja Polski — to zdobycie skutecznego narzędzia pracy nad podniesieniem i uspołecznienia najszerszych warstw ludności. Racjonalny zaś rozwój radiofonii szkolnej przyczyni się niewątpliwie w sposób zdecydowany do podniesienia wydajności pracy nauczyciela w zakresie wychowania moralnego, intelektualnego i estetycznego, zmierzającego do jak najpełniejszego rozwoju jednostki, przyczyni się też wybitnie do zdemokratyzowania kultury.

„Każda szkoła i każda świetlica — radiostacją odbiorczą" — oto konkretne zadanie do wykonania w czasie najbliższym. Oto pole do pracy propagandowej dla nauczycielstwa.

Dla sprężystego i szybkiego osiągnięcia tego doniosłego celu należy przyspieszyć powołanie do życia Komisji Radiofonizacji Szkolnictwa. Komisja ta złożona z przedstawicieli Władz Szkolnych, Polskiego Radia, samorządu terytorialnego, organizacji nauczycielskich— winna przede wszystkim zająć się sprawą dostarczania szkołom tanich i dobrych radioodbiorników.

Ostatnio jak donosi prasa jedna z najpoważniejszych przeszkód w radiofonizacji szkół — opłata abonamentowa zostaje ostatecznie usunięta. Zapowiedź wprowadzenia opłaty rocznego abonamentu dla szkół w wysokości 1 zł. rocznie nauczycielstwo wita z entuzjazmem.

Równie z zadowoleniem przyjmuje specjalne broszury wydawane przez Polskie Radio omawiające audycje szkolne.

Znaczenie kulturalne, społeczne i gospodarcze radia zrozumiało i docenilo w całej pełni wiele organizacyj społecznych, które postawiły sobie za jeden ze swych celów propagandę radia wśród szerokich rzesz zorganizowanego społeczeństwa.

Społeczny Komitet Radiofonizacji Kraju skupia w swych szeregach około 20 największych i najżywotniejszych organizacyj w Polsce, zarówno społecznych jak i zawodowych, oraz — w poszczególnych dzielnicach kraju — szereg organizacyj regionalnych. Siła organizacyjna i społeczna, jaką Komitet w swej pracy nad radiofonizacją Polski reprezentuje, jest naprawdę potężna: organizację Komitetu zrzeszają bowiem w swych szeregach trzy i pó łmiliona zorganizowanych obywateli, i nie ma bodaj w całym kraju takiego zakątka, gdzieby nie było jakiejś większej czy mniejszej jednostki organizacyjnej, jednego ze skupionych w S. K. R. K. związków i stowarzyszeń, a choćby tylko grupy ich czynnych członków.

Obok akcji uświadamiania obywateli o potrzebie i dobrodziejstwach kulturalnych i gospodarczych radia, Komitet realizuje równocześnie intensywnie hasło radiofonizacji kraju. Organizuje więc i ułatwia zbiorowe zakupy odbiorników na dogodnych warunkach, organizuje obsługę techniczną odbiorników, szczególnie ważną dla wsi, przeprowadza praktyczne kursy przysposobienia radiowego dla pionierów radiowych w organizacjach i gminach, poucza, jak organizować zbiorowe słuchanie radia. A przede wszystkim pracuje wydatnie nad radiofonizacją świetlic, szkół, gmin i wsi.

Materiały zebrane (drogą ankiety) wśród nauczycielstwa o doborze i poziomie audycji szkolnych stanowią niezmiernie cenny czynnik w dalszej, nieustannej pracy w zakresie ścisłego współdziałania szkoły z radiem.

Widzimy więc, że nowy 1939 rok rozpoczynamy pod znakiem ruszenia z miejsca podstawowego problemu radiofonizacji naszego szkolnictwa. Życzyć jedynie pozostaje, by program całkowitej radiofonizacji szkolnictwa został zrealizowany.

Wl. Chvliński.

(Dokończenie ze str. 1)

wień. Zaledwie drobna grupa oddała głosy swe liście pracowniczej. Stąd przegrana... Nie ma tego co ukrywać!

Okazało się, poraz niewiadomo który, że społeczeństwo dąży do jasnych sytuacji. Chce ono wiedzieć z kim ma do czynienia. I trudno się temu dziwić... Są takie czasy, że nie można głowy chować w piasek. Niebezpieczeństwu w oczy należy patrzeć prosto.

Z tej przegranej świata pracy, płyną też pewne wnioski dla praktycznego działania.

Nie ulega obecnie żadnej wątpliwości, że sytuacja w Polsce, ciągle mimo wszystko, zmierzać będzie w swym rozwoju w kierunku totalizmu. Kierunek ten, może być osłabiany lub hamowany przez takie czy inne nieprzewidziane okoliczności, jednakże te okoliczności nie będą w stanie całkowicie marszu zahamować.

Co najwyżej opóźnią jego dążność, względnie zniwelują jego zbyt jaskrawe i kanciaste formy.

W Polsce, ośrodki dyspozycyj politycznych, są na tyle zdecydowane w swoim obranym kierunku, że zmiany tego kierunku spodziewać się nie należy. A jeżeli tak, to los przeciwników nie zapowiada się zbyt różowo.

Niewątpliwie będzie się usiłowało rozdzielić przeciwników i zgodnie z taktyką napoleońską, pobić ich na głowę po kolei, zanim nastąpiłaby ich koncentracja.

Z tego tytułu należałoby ocenić rezultat zmarnowania demokratycznych głosów pracowniczych, jako stratę nieprzyjemną i politycznie zgoła niepotrzebną.

Dziennik Powszechny

W pierwszej połowie grudnia ukazało się codzienne pismo pracownicze pod nazwą „DZIENNIK POWSZECHNY".

Od dawna zapowiadany i oczekiwany przez świat pracy, wreszcie zjawił się wśród nas i liczy na gorące przyjęcie wśród tych, którzy stale pytali nas o to: kiedy wreszcie ukaże się pismo codzienne?

Kurier Demokratyczny, który zaczął wychodzić po zawieszeniu Dziennika Porannego, był łącznikiem pomiędzy tym, co zostało w trakcie rozwoju przerwane, a co odżyło w pierwszych dniach grudnia.

W ten sposób K. D. wypełnił całkowicie wyznaczone mu zadanie.

Misja D-ra Schachta

Tuż po zakończeniu zwyczajnej sesji Rady Zarządzającej Międzynarodowego Banku Wypłat w Bazylei, wybrał się prezydent Banku Rzeszy Dr Hjalmar Schacht z „kurtuazyjną" wizytą do swego angielskiego kolegi, Sir Montagu Normana, by przy tej sposobności omówić te wszystkie zagadnienia, które w ostatnich kilku miesiącach doprowadziły do ostrego napięcia stosunków anglo - niemieckich.

Reakcja na tego rodzaju postępowanie kierowników niemieckim handlem zagranicznym nie dała na siebie długo czekać.

Stany Zjednoczone wzmogły jeszcze bardziej bojkot wyrobów niemieckich, które wpisane zostały i na t. zw. „czarną listę", na której uwidocznione są te wszystkie państwa, które nie mogą korzystać z najrozmaitszego rodzaju ulg, stosowanych wobec innych państw. (najważniejszą niemieckich — (w biurze tym koncentrują się sprawy uchodźtwa całego, a zatem nie tylko żydowskiego). Wynikiem tych konferencyj było przedłożenie dwu propozycyj, mających zgodnie z życzeniem decydujących sfer niemieckich, (a zatem nie Dra Schachta), usunąć z terenu międzynarodowego te wszystkie przyczyny, które spowodowały stan zapalny, cechujący obecne stosunki Niemiec z licznym szeregiem państw.

Liczne przyczyny złożyły się na to, że w tym samym czasie, gdy między drugim partnerem osi Rzym - Berlin, t. j. Włochami nastąpiło zbliżenie, chociaż nie zbyt daleko idące z Anglią. Cały bez wyjątku świat anglo - saski z Wielką Brytanią i Stanami Zj. A. P. na czele, coraz to więcej odsuwać się zaczął od Trzeciej Rzeszy a raczej od odpowiedzialnych kierowników jej polityką wewnętrzną, zagraniczną i gospodarczą.

Oliwy do tego tlejącego ognia dolały ostatnie zarządzenia anti - żydowskie oraz nie praktykowane dotąd dumpingowe metody stosowane przez Niemcy w stosunkach handlowych ze swymi zagranicznymi partnerami.

Wynika to chociażby tylko z przemówień wygłoszonych w Izbie Gmin przez ministra handlu Anglii, Sir Stanleya oraz sekretarza wydziału handlu zagranicznego w angielskim ministerstwie spraw zagranicznych, Sir S. H. Hudsona. Dowiedzieliśmy się z tych enuncjacyj, że Niemcy zakupują u swych dostawców zboża, rudy, ropy i t. p. produkty po cenach znacznie wyższych niż ceny targowe, notowane w danym okresie na miarodajnych giełdach, że umowy na te zakupy są zazwyczaj kilkoletnie, i że zapłata za te artykuły nastąpić ma wyłącznie wyrobami niemieckimi, jak maszyny wszelkiego rodzaju, chemikalia, broń, no i konieczną do broni, amunicję, również w Niemczech fabrykowaną.

Dla przykładu przytoczymy tylko kilka danych, podanych przez wspomnianego wyżej Sir Hudsona.

Wynika z nich, że Niemcy zakupiły w Rumunii pszenicę po 10 Ł za 1. gdy cena targowa wynosiła w tym czasie tylko 7 Ł, jęczmień po 7,5 Ł za t zamiast po 5,3 Ł (notowania giełdy w Londynie), jaja po 7,6 Ł za cetnar zamiast po 5,9 Ł (za cetnar) notowanch wy tym czasie w Londynie.

Podniósł również Sir Hudson, że i w Polsce zakupili Niemcy znaczne ilości produktów rolnych po cenach o wiele wyższych niż ówczesne ceny giełdowe i to w zamian za swe gotowe wyroby przemysłowe (maszyny etc.) oraz, że ceny w umowie tej ustalone obowiązywać mają przez okres dziewięcioletni.

Rzecz zatem jasna, że żadne inne państwo na świecie nie jest w stanie konkurować z tego rodzaju dumpingiem niemieckim, nikt bowiem inny nie będzie płacił takiej nadwyżki ponad ceny giełdowe, by w ten tylko sposób zapewnić sobie zbyt swych wyrobów po cenach nie niżej wygórowanych oraz dostawę koniecznych, ba niezbędnych, surowców i środków żywności. z

ulgą jest stosowanie klauzuli tak zw. najwyższego uprzywilejowania clowego).

Inną drogę obrała Anglia. Prócz znacznych kredytów i pożyczek w gotówce, udzielonych licznym państwom, postanowionym zostało ostatnio powiększenie państwowej gwarancji kredytów eksportowych do sumy 75 mil. Ł, powołanie do życia specjalnego instytutu popierania eksportu z udziałem najpoważniejszych firm przemysłowych i handlowych oraz rozszerzenie ram dotychczasowych gwarancyj eksportowych i na tego rodzaju wyroby, które z uwagi na ryzyko, połączone z ich eksportem (np. broń wszelkiego rodzaju etc.) wyłączone były dotąd z tego rodzaju ubezpieczenia kredytowego.

Na skutek takich zarządzeń oraz ogromnych zasobów gotówkowych, jakimi rozporządzają USA i Anglia, jasnym się staje, że Niemcy nie potrafiłyby na dłuższą metę utrzymać w mocy swoje co prawda swoiste metody dumpingowo - handowe, zwłaszcza, że w grę wchodziło i nader dotkiwe kurczenie się obrotów handowych Niemiec nie tylko z Stanami Zj. A. P. i Anglią, ale i z tymi wszystkimi państwami, które pośrednio, czy bezpośrednio zawisłe są od tych właśnie dwu potęg finansowych i handlowych, jakimi są te dwa mocarstwa.

Nie pozostało zatem Niemcom nic innego, jak wysłać swego „czarodzieja z nad Sprewy", Dra. Hjalmara Schachta do Londynu, by i nad Tamizą dokazał swej sztuki.

Po drodze przerwał swą podróż, by wysondować opinię Belgów, tych nie mniej potężnych bankierów świata i by przy tej sposobności porozmawiać i o... żydowskiej kwestii, która również wywołała nie mało zgrzytów.

Konferencję tę odbył Dr. Schacht w Schveningen (doniósł o tym dziennik holenderski „Der Telegraaf") z prezydentem rady zarządzającej potężnego belgijskiego koncernu elektrycznego „Sofina" Heinemanem, z pochodzenia żydem (!!). Wedle relacji tego pisma przedmiotem obrad tych dwu potentatów być miała właśnie kwestia umożliwienia emigracji żydom niemieckim przez zwolnienie części ich majątku dla transferu.

W Londynie, gdzie Dr. Schacht bawił jako gość Sir Normana i w ścisłym incognito, mimo posiadania daleko idących pełnomocnictw ze strony premiera Goringa, odbył się cały szereg konferencji i z Lordem Winterton, wysokim dygnitarzem w ministerstwie skarbu, Amerykaninem Rublee, dyrektorem Międzynarodowego biura dla spraw uchodźców

Z treści tych propozycyj przedostało się do publicznej wiadomości tylko to — na razie— że miarodajne czynniki niemieckie rade by były zawrzeć z Anglią pewnego rodzaju „gentleman-export-agreement", czyli porozumienie „na słowo" w sprawie eksportu a w sprawie emigrantów przymusowych, czy też dobrowolnych, byłyby Niemcy również skłonne do ustępstw, ograniczających się jednak do tego, by z tych ludzi, pozbawionych dachu i swego dorobku życiowego, stworzyć nową falangę propagatorów i agentów wyrobów „made in Germany".

Pomysł zaiste godny... podziwu!

Niemcy gotowe są wedle projektu, zwolnić 15% (!!) majątku tych emigrantów i zezwolić nawet na wywóz tychże poza granice Wielkiej Rzeszy, ale nie, jakby się zdawać mogło w gotówce, lecz w... bonach towarowych.

Emigrant uzbrojony w tego rodzaju bony, będzie musiał dla uzyskania koniecznej mu gotówki, sprzedać je, względnie towar, na jaki bony te opiewać będą zagranicą a tym samym przyczyni się i do zwiększenia eksportu!

Ile za tego rodzaju bony emigrant uzyska, to już jest rzeczą wyłącznie jego.

Nie ulega wątpliwości, że propozycja ta spotka się z jednomyślną odmową zainteresowanych sprawą emigrantów państw, należących do wspomnianego wyżej Międzynarodowego Komitetu. Wynika to chociażby z opinii całej prasy państw bez wyjątku, które jednomyślnie oceniły tę propozycję — scilicet dotyczącej emigracji — jako arcy nie moralną!!

A wobec tego, że między tym zagadnieniem a sprawą ewentualnego gentleman-agreement z Anglią odnośnie eksportu istnieje pewne, chociaż nie zbyt ujawniające się iunctim, przeto nie trudnym jest stwierdzenie, że wyjazd Dra. Schachta do Londynu — Canossy, pozbawiony będzie realnych i korzystnych dla Niemiec wyników.

Alfa.



POD OBSTRZAŁEM PRASY

Cały kraj z niezwykłym napięciem oczekiwał niedzieli dnia 18 grudnia. W największych miastach Polski, oraz w licznych mniejszych i większych osiedlach odbyły się w tym dniu wybory samorządowe. Według jednych, to korektura aktu sejmowych wyborów, do których nie poszła opozycja. Według innych, to akt w sposób zdecydowany pieczętujący tylekróć głoszone przekonanie, że społeczeństwo na samorząd patrzy jak na sielankę, w której nie widzi i nie chce widzieć żadnej polityki. O ile pierwszą opinię niedziela potwierdziła, dając nam pewną korekturę i wskazówki jak należy oceniać strukturę polityczną państwa, o tyle druga opinia została definitywnie pogrzebana, jako niesłuszna i fałszywa.

Społeczeństwo wcale nie stroni od polityki i od partii, przeciwnie, raczej w nich upatruje właściwy sens publicznej działalności ludzkiej.—

Oto jak ocenia prasa różnych kierunków ubiegłą niedzielę.

ROBOTNIK w artykule wstępnym p. M. Niedziałkowskiego pisze:

„Dzień 18 grudnia rzucił, jak byliśmy tego z góry pewni, snop światła na polską „rzeczywistość rzeczywistą“. Chodziło o jeden tylko odcinek, o *odcinek szeregu większych miast Rzeczypospolitej.* To jest prawda. Ale ma ten ‚odcinek“ *znaczenie zasadnicze.* Uzupełniony przez polską wieś, — stanowi razem *wizerunek dokładny* oblicza ideowego i społeczno - politycznego Polski.

Wyniki ogólne głosowań niedzielnych są już znane. Z całą świadomością i z *całym poczuciem odpowiedzialności* dźwignęliśmy te głosowania niedzielne na poziom sporu wielkich Idej i sposobu ujmowania wielkich zagadnień polskiego życia państwowego.

Kraj odezwał się. Jesteśmy z tego odzewu dumni.

Ofiarowały nam swoje głosy *dzielnice robotnicze* Warszawy, Łodzi, Krakowa, Ziemi Krakowskiej i Ziemi Pomorsko - Poznańskiej. Ofiarowali nam swoje głosy *pracownicy umysłowi* i skupieni w miastach działacze *ruchu ludowego.* W dniu 18 grudnia *cały świat pracy Polski* rzucił na szalę decyzję własną. Rzucił decyzję i *nie zawiódł*“.

Wyniki zaś tak ocenia p. Niedziałkowski:

1) my — *polski ruch socjalistyczny* — P. P. S. (klasowe Związki Zawodowe) stanowimy w Polsce *naczelną siłę realną;* Łódź, Kraków, Warszawa, Inowrocław, Grudziądz stwierdzają wystarczająco „prawdę życia“;

2) *Stronictwo Narodowe* — poza Poznaniem — znajduje się raczej w odwrocie, nie ostatecznym, nie rozstrzygającym, ale — bądź co bądź — w odwrocie;

3) „Obóz narodowo - radykalny“ reprezentuje coś-nic coś w Warszawie (4 mandaty na 100), poza tym — *nie istnieje;*

4) *Obóz Zjednoczenia Narodowego* uzyskał sukces niewątpliwy w Warszawie — *kosztem Str. Narodowego* — poza tym nigdzie nie może mieć pretensji do *roli naczelnej* w życiu polskim“.

KURIER POLSKI streścił w kilku zdaniach rolę i znaczenie głównego partnera w akcji wyborczej, pisząc:

„1) Ozonu w kraju jest bardzo niewiele;

2) niedzielne wybory samorządowe były w 100 proc. wyborami politycznymi;

3) wyniki wyborów sejmowych zostały przez „niedzielę samorządową“ zakwestionowane;

4) sukces Opzonu z przybudówkami w Warszawie jest rezultatem całkiem specjalnych warunków personalnych i politycznych, jakie się w stolicy wytworzyły;

5) realni politycy w reżimie nie mogą zamykać oczu na ujawnione prawdy. Groźne fikcje, oparte na wyborach sejmowych domagają się radykalnej likwidacji w interesie państwa“.

GONIEC WARSZAWSKI pisze:

„Wybory niedzielne — miejmy odwagę powiedzieć otwarcie: dały zwycięstwo — socjalistom! Widać to w Warszawie, w Łodzi, w niektórych miastach zachodnich“.

POLITYKA OGÓLNA.

W Gazecie Polskiej znany korespondent tego pisma p. K. Smogorzewski w ciekawy sposób kreśli wysiłki polityki niemieckiej w basenie naddunajskim. Pan K. S. pisze:

Celem dalszym jest silne wzmożenie wpływów Rzeszy na europejskim południo - wschodzie. Niemcy uważają to ich dążenie za zupełnie naturalne i słuszne. Naturalne dlatego, że bez opanowania wspomnianego regionu — polityczne, strategiczne i gospodarcze położenie Rzeszy byłoby trudne; słuszne zaś dlatego, że oparcie się o Niemcy ma — zdaniem kół niemieckich — leżeć we własnym interesie krajów dunajskich i bałkańskich.

Przyglądając się sposobom stosowanym przez Niemcy w urzeczywistnianiu tego celu na europejskim południo - wschodzie, rozróżniamy tu trzy główne metody: poprzez odpowiednią akcję dyplomatyczną — usiłują odosobniać i uzależniać od siebie politykę zagraniczną poszczególnych państw; dążąc do zapewnienia sobie przeważającej roli w zewnętrznym obrocie towarowym danego kraju — próbują zdobyć decydujący wpływ na jego gospodarkę popierając w każdym z danych krajów te ruchy polityczne, które są z ich punktu widzenia najwygodniejsze — starają się móc kierować ewolucją ustrojową owych krajów. Specjalna rola przypada tu mniejszościom niemieckim, o ile takie znajdują się na terytorium danego państwa".

Tendencje Niemieckie są znane. Mało je sobie jednak uświadamiamy. Uspokaja nas to, że obecnie Niemcy nie zwracają się bezośrednio przeciwko Polsce.

Ale nie ulega żadnej wątliwoścpi, że gdy III Rzesza nas okrąży zająwszy mocną pozycję w państwach bałkańskich, zacznie wówczas i z nami rozmawiać inaczej.

O tym ani na chwilę naród Polski nie może zapominać.

Marian Trzciński.

Recenzje teatralne

Z Instytutu Reduty

„Uciekła mi przepióreczka“, sztuka w 3-ch aktach *Stefana Żeromskiego* w opracowaniu, współudziale i reżyserii *Juliusza Osterwy.*

Mówiąc lub pisząc o założycielu i Dyrektorze „Reduty“, trudno nie porównać go z Sachą Guitry .Zarówno on we współczesnych filmach francuskich, w których jest „wszystkim‘ : reżyserem, aktorem, scenariuszo-pisarzem, (własna muzyka i koncepcja reżyserska)tak i Osterwa jest głównym nerwem tego tak doborowego zespołu artystycznego, jakim jest Instytut Reduty.

Jak na nasze stosunki założyć teatr (oparty o własne siły, bez pomocy z zewnątrz), być dyrektorem, reżyserem, opracowywać sztuki i grywać główne role jednocześnie, zaliczyć to należy do przedsięwzięć conajmniej odpowiedzialnych, nieprzeciętnych i godnych największego szacunku, a co za tym idzie — poparcia najszerszych warstw społeczeństwa, którym drogi jest wysiłek i wielki wyczyn ludzki oraz pożyteczna placówka artystyczna.

Sezon bieżący „Reduta“ zapoczątkowała „Przepióreczkę“ Żeromskiego w nowym opracowaniu Juliusza Osterwy.

Reżyseria i gra nad wyraz staranna. Osterwa jako Przełęcki gra z takim oddaniem i przekonaniem, że w pewnej chwili widz w ślad za nim kieruje swe spojrzenie w stronę wiszącego nad sceną portretu marzyciela o szklanych domkach i z westchnieniem w duszy woła: *O wielki czarodzieju!*

Najbardziej emocjonująco wypadł akt drugi: rozmowa Przełęckiego z Dorotą. Dowód temu dała widownia, gdyż w tym czasie w ruch poszły chusteczki...

Dopiero magicznie działający uśmiech Osterwy położył kres szlochom.

P. Juliuszowi Osterwie przy tej okazji składam najserdeczniejsze życzenia pomyślnego rozwoju „Reduty“ i dalszej owocnej pracy.

Teatr Polski

„Maskarada“; melodramat w 4-ch aktach *Jarosława Iwaszkiewicza*, reżyseria *Edmunda Wiercińskiego*, dekoracje *Stanisława Śliwińskiego*, kostiumy *Zofii Węgierkowej.*

Nowa premiera w Teatrze Polskim przyjęta została przez warszawską publiczność teatralną ze szczerym zadowoleniem. Tego tryumfy, dodajmy — zasłużonego, mógł się Teatr Polski spodziewać jedynie wystawieniem sztuki autora „Lata w Nohant“.

„Maskarada“ Iwaszkiewicza zapoznaje nas z krótkim pełenym goryczy życiem Aleksandra puszkina; z przebiegiem dramatycznych wydarzeń i intryg, po których nastąpi jego słynny pojedynek z porucznikiem D‘Antesem i tragiczna śmierć 36-letniego wielkiego poety.

Ten za młodu energiczny i buntowniczy, a później raczej apatyczny „poeta dworski“ świadomy doznanej krzywdy zry— ponownie do buntu, ale już nie, do siania „zamętu“ swymi liberalnymi wierszami, lecz w obronie swego honoru i czci.

W chwili, kiedy zrywa maskę „Apolla“ jest przekonany, że za nią kryje się Car. Wielkiego tedy doznaje rozczarowania, gdy spod niej okazuje się fizjognomia D‚Antesa. Świadczy to niezbicie o jego zdecydowanym acz rozpaczliwym kroku.

Cóż miał do stracenia? Jego ubóstwiana piękna Nathalie „przyprawia mu rogi“; ma piękne oczy, a w sercu... trociny. Obraca się na dworze carskim, a jednocześnie jest pod okiem policji. Z Petersburga oddalać się nie może. Jego geniusz zaprzedany Carowi. Najbardziej umiarkowane wiersze przez cenzurę skreślone. I co jemu po takim życiu? Puszkin nie może tak żyć! Staje do pojedynku z porucznikiem D‘Antesem nie tyle, by go zabić, ile by samemu od kuli paść.

Niewątpliwie największy odniósł sukces Iwaszkiewicz .Cechą „Maskarady“ są: czysty dialog, piękna polszczyzna, wysoki poziom literacki i bogata inwencja autorska. „Odkopacz“ życia Chopina i Puszkina zareprezentuje nam jeszcze dwóch geniuszów, a pozostanie w naszej encyklopedii jako „archeolog sławnych ludzi“.

Z dużym zachwytem należy się wyrazić o reżyserii. Dużo tu widać pracy reżyserskiej. Pan Wierciński nie szczędził sobie trudu.

Doskonale odtworzył Puszkina p. Marian Wyrzykowski, grał z prawdziwą rutyną aktorską. Jako Nathalie (żona Puszkina) p. Jadwiga Smosarska gra najlepiej w czwartym akcie. Widzimy wtedy kobietę stworzoną tylko dla miłości i pięknej sukni, kobietę zamieniającą jedynego na całej kuli ziemskiej Puszkina na jednego spośród miliona poruczników. P. Jan Kreczmar w roli Cara Mikołaja I jest bez zarzutu. Równie dobrze zagrała p. Nina Andryczówna jako Alexandrine.

Reszta zespołu sekundowała dobrze.

D. Markus.

Półka z książkami

E. Ludwig: NIL (Przemiany). 2 tomy. Książnica-Atlas. Lwów—Warszawa. str. T. I. — 415, T. II. — 388, zł. 22.

Nil — rzeka królów i król rzek. Najwspanialsza rzeka świata, a zarazem najbardziej tajemnicza. 6.000 km długości i 6.000 lat kultury. Rzeka, która prawie połowę swego biegu przedziera się bez jednego dopływu i bez kropli deszczu przez granitowe katarakty i piachy pustyni, by stworzyć pod koniec najżyźniejszą ziemię na świecie: błogosławioną ziemię Egiptu. Nil Biały rodzi się pod równikiem z wodospadów jeziora Wiktorii, olbrzymiego zwierciadła Afryki ,większego niż Szwajcaria, a u jego kolebki czuwają tajemnicze Góry Księżycowe ,u których stóp mieszkają karły. Nad kolebką jego nieokiełznanego brata, Nilu Błękitnego, szaleje rocznie 400 burz, Jego to wody, zwalając się z grzmotem rok rocznie do wyschniętego koryta szeroką na 500 m ścianą, zmiatają z gór abisyńskich miliardy cząsteczek pierwotnych skał, które stwarzają owe czarodziejskie egipskie urodzaje. Nad Nilem żyją trzy przedpotopowe olbrzymy: słoń, hipopotam i nosorożec. Wjego falach żeruje straszliwy lewiatan z księgi Hioba: krokodyl, a u jego brzegów gaszą pragnienie wielkie drapieżce. Nad Nilem znajdują się trzy raje ptactwa, zlatującego tu w milionowych rzeszach. Żyją setki różnokolorowych plemion. mieszają się rasy i ludy, kultury i religie.

Nil to faraonowie, piramidy i mumie: uczeni kapłani, hieroglify i papirus; astronomia, geometria i prawo. Nil to Mejżesz i plagi egipskie, Persowie i Aleksander Wielki. Nil to Kleopatra, Pompejusz, Cezar i Antoniusz; Arabowie, Turcy i Napoleon; handel niewolnikami, kość słoniowa i bawełna; Kanał Suezki i angielskie zapory wodne. Nil to Egipt: pierwsza na świecie kultura i najciekawsza karta historii

Ludwig swej pracy o Nilu dał podtytuł: życiorys rzeki, pokusił się bowiem — on pierwszy — o napisanie epopei Nilu w nowym ujęciu, jako symbolu, tak jak pisał dzieje wielkich ludzi. Istotnie święta rzeka czarnego lądu w jego wizjii tętni pełnią niesłychanie barwnego, zdumiewającego bogactwa a zarazem tajemniczego życia.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa 1. ul. Smulikowskiego 5 m. 8, Telefon 513-01 Konto P. K. O. 18.147. Przekaz rozrachunkowy Nr. 209.

Artykuły niezamówione przez redakcję nie są honorowane. Nadesłanych rękopisów redakcja nie zwraca.

PRENUMERATA: w kraju w Warszawie i na prowincji miesięcznie 1 zł. wraz z dodatkiem „Mój Dom" 1 zł. 40 gr. Cena egz. 30 gr.
zagranicą: prenumerata miesięczna 1 zł. 50 gr. wraz z dodatkiem „Mój Dom" 1 zł 90 gr. Cena egz. 40 gr.

PRENUMERATA WE FRANCJI: Cena egz. 1 fr. 50 cent. prenumerata miesięczna 5 franków. Wpłaty we Francji dokonywać mandatem: A. Wiącek c/c 380.15. Lille (Nord)

CENY OGŁOSZEŃ: Za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość szpalty: 1) za tekstem — 60 gr., 2) w tekście — 90 gr., 3) na 1 stronie — 1 zł. 25 gr., 4) notatki — 1 zł. 25 gr., 5) komunikaty specjalne — 2 zł. 50 gr., 6) drobne za wyraz — 20 gr. Duże litery w ogłoszeniach drobnych liczy się jak za wyraz, a tłusty druk podwójnie. Zastrzeżone miejsce — 50% drożej.
Administracja nie odpowiada za terminowy druk ogłoszeń i zastrzega sobie prawo nieumieszczania ogłoszeń bez podania powodów. Ogłoszenia zagraniczne o 50% drożej.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: ANTONI WIĄCEK

„Drukarnia Lekarska", Warszawa, Leszno 56, tel. 11-98-75.